

KONIEC FREDA.

/ ze wspomnień okupacyjnych/.

- "Na imię mu Fred. Jest Anglikiem z Walii. Uciekł z obozu jeńskiego i po różnych przejściach dostał się do Krakowa. Gestapo jest na jego tropie. W związku z tym aresztowano już lekarza u którego się ukrywał. Trzeba go natychmiast usunąć z terenu miasta. Czy mogłabyś go zabrać do siebie?" -

Pytanie takie zadało mi jedna z kuzynek mieszkających w Krakowie, która w pośpiechu przyjechała do mnie na Podkarpacie. Był to początek grudnia 1943r. W organizacji tkwiliśmy - cały nasz dom i ja - od dawna po uszy. Oczywiście zdecydowała się. Szkoda człowieka i szkoda naszych którzy wpadną, jeśli gestapo idzie już jego śladem.

- "Tylko pamiętaj, że kolejną nie można go transportować. Fred nie ma żadnych papierów i nie zna żadnego języka poza angielskim. A wiadomo, że w Stróżach Bahnschutz wszystkich kontroluje i bada dokumenty. Najlepiej byłoby samochodem, bo to przebież stąd 150 km odległości".-

Łatwo powiedzieć "samochodem". Przecież nikomu z Polaków nie wolno auta mieć, ani używać bez specjalnego zezwolenia. Trzeba starać i poszukiwać, a zalety przecież na czasie. Po namyśle decyduję się jechać końmi. Rodzinne opory pokonuję argumentem, że jeśli dawniej ludzie jeździli końmi do "Wiednia" a nawet do Paryża, to tym bardziej dojedzie się do Krakowa.

Wyruszyłam 4-go grudnia wcześnie rano. Powoziłam sama, gdyż w powrotnej drodze miałam zamiar funkęję tę zlecić Fredowi, który miał występować w odpowiednim płaszczu i czapce furmankowej. Wzięłam również dla niego pożyczoną Kennkartę opiewającą na Jana Ciślaka, na wszelki wypadek gdyby fotografację można było choć mniej więcej dopasować do wyglądu Freda.

Konie dali mi dobre, zaprzężone do małego zgrabnego wózka tak, aby móc przebrnąć przez śniegi na drogach, a być równie przygotowaną na odwilż i błoto w okolicy miast.

Droga nie okazała się łatwa. Chcąc ją skrócić, koło Staszówki wpadłam w głębokie zasy. Z trudem udało mi się wypchać wózek grzęzący w śniegu. Dalej, już na głównej szosie koło Gromnika oblodzonej na skutek gołoledzi pośliznęła się i upadła jedna z kłaczy. Dziwne, ale koń to pięknie zbudowane i wspaniałe w ruchu zwierzę, z chwilą gdy upadnie staje się nie-dołączną masą gnatów. Trzeba odpiąć uprzęż i pomagać podnieść się na nogi. A tu pusto w okóło, żadnej pomocy. Szczęśliwie udało mi się poodpinać napięte rzemienie i postawić ją na nogi. Na wieczór dojechałam pod Zakliczyn, gdzie przenocowałam u znajomych, a następnego dnia już bez przeszkód znalazłam się w Kunicach koło Gdowa, a więc niedaleko Krakowa.

W Kunicach dokładnie rok temu przyjechała mnie mieszkająca tam rodzina Piechów, na dłuższy czas jako "spalona" na terenie Gorlic. Odtąd ten dom stał się dla mnie jakby drugim domem rodzinnym i miałam do nich pełne zaufanie. Wtargamniczyłam ich w moją sprawę i poprosiłam o nocleg. Usłyszałam natychmiast:

ó"Pani kochana, pewno że ci pomożemy. Jutro rano pojedzie pani do Krakowa ze Stasiem naszymi końmi. Panine muszą odpocząć. Zakatwi pani w Krakowie jutro co potrzeba, wróci do nas, konie się przepzęgnie i pojedziecie sami dalej. Ale pani kochana, co też pani wyprawia. To mało pani było tego wszystkiego co pani przeszła w zeszłym roku? Jeszcze Anglika się pani zachciało ratować." -

W rezultacie znalazłam się na drugi dzień rano na Rynku Podgórskim w Krakowie podwieszona przez Stanisława jego pięknymi końmi. Udałam się na spotkanie.

Fred okazał się wysokim, szczupłym, bladym chłopcem średniego wzrostu. Zachowywał się spokojnie i swobodnie, jakby nie zdawał sobie sprawy z ciężaru trosk i poświęceń, które zestawiał za sobą.

Dość słabą angielszczyzną zapytałam czy zna się trochę na koniach, czy umie powozić. Odpowiedział, że o tyle tylko, że jeździł mułami w czasie pobytu w Indii.

W Podgórzu wsiedliśmy do wózka. Fred z tyłu robił furmaną zawinięty w zbyt obszerny płaszcz. Czapka wpadła mu na uszy. Niestety był zupełnym przeciwieństwem Jana Ciślaka z Kennkarty.

Zaledwie wyjechaliśmy z bocznej ulicy Podgórze na szosę

wielicką zobaczyliśmy na drodze długi sznur furmanek kontrolowanych przez Schutzpolizei. Badali przewożone przedmioty i towary, a co gorsze widać było, że sprawdzają również dokumenty. Coś się już już nie można. Trzeba ryzykować. Prędko informuję Freda aby udawał nienowę. Niech ust nie otwiera. Nie wiem czy coś z tego zrozumiał, ale już podchodzi do nas policja. Widzę, że Stanisław ściga lejcę, ale równocześnie nieznacznie trąca konie batem. Młode konie niecierpliwą się, rzucają i stają dęba. Rozumiem o co chodzi. Daję rozpaczliwe znaki policjantowi wskazując na konie i możliwie piękną niemożliwą informuję, że nie możemy koni utrzymać, że nie nie wiozę i wózek jest pusty. Popatrzyli na nas i widać musieliśmy mieć dość niewinności, bo powiedział tylko:

- "Ja, ja schöne Pferde, fahren sie weiter".

Stanisław tylko się lekko uśmiechnął. Popatrzyłam z boku na Freda. Był może o cień bladejszy.

W Kunicach krótkie opowiadanie, oglądziły cudzoziemca, dużo jajeczniczy, zmiana koni, dobre, serdeczne słowa i jedziemy dalej.

Godziny i kilometry mijają. Zbliżamy się do Zakliczyna, wszystko idzie dobrze. Nagle jedna z klaczy zaczyna kuleć. Badam, pokazuje się, że zgubiła podkowę. Podjeżdżamy do kowala. Wypręgam i podprowadzam konia. Okupuję go zaraz. Tymczasem widzę, że wśród obecnych - a było u kowala około 7-miu ludzi - zaczynają się jakieś śmiechy i trącania. Orientuję się, że powodem jest dziwna rola Freda - furmana. Podczas kiedy ja, bądź co bądź kobieta, załatwiam sprawę kucia konia, wypręgam go sama, doprowadzam i trzymam, mój furman siedzi w pozie dość niedbałej na wózku i bez zainteresowania czeka kiedy się to skończy. Podchodzę więc do niego i po cichu nakłanianiem aby nabrał wody ze studni do wiadra i napił konie. Nie wypada to szczęśliwie, bo biedny Fred, pełen dobrych chęci, nie wie jak dobrać się do wody ze studni przy pomocy korby i wiadra. Widać inny był system pojenia mułów w Indii. Daję za wygraną, wyciągam wodę sama i staram się wyjechać jak najszybciej, aby nie zastać czasu na domysły i indagacje.

Na wieczór dojeżdżamy szczęśliwie pod Zakliczyn do znajomych uprzedzonych o naszym noclegu.

Nastroj jest pełen podniecenia. W 4-tych roku okupacji i hitlerowskiej przemocy, ciężkich i bolesnych strat, które dotknęły prawie każdą rodzinę, ten człowiek choć sam słaby i u nas szukający pomocy, dlatego tylko, że należał do świata walczącego z tym złem i okrucieństwem, staje się dla wszystkich jakby symbolem wolności, która musi nadejść. Słowiańskie serce rozpala ją się w nadmiarze przyjaźnielskich uczuć. Fred na skutek tej ogólnej radości i gościnności, a jeszcze więcej może pod wpływem wychylanych kieliszków bimbru, stracił swoją przysłówianą angielską rezerwę i zapraszał "na po wojnie do Anglii", a następnie pogodnie zdrzemnął się w kącie, na fotelu.

Drugiego dnia wieczorem dojechaliśmy do domu. Wejście było dość zaskakujące. W chwili kiedy stanęliśmy w progu drugimi drzwiami wszedł równocześnie "Kmicic", dowódca jednego z oddziałów partyzanckich w nowosądeckim, w stroju dość oryginalnym. Na głowie miał kapelusz 1-go PSP, a podwiniecie z lewej strony podtrzymywane było jakimś zdobyczynami odznakami czy orderami niemieckimi. Na sobie miał zarzucony rodzaj peleryny o nierówno podwiniętych brzegach, sporządzonej z niemieckiego płótna nieprzenakalnego w tygrysi wzór. Na jednym ramieniu miał przewieszony ręczny KM, a na drugim ustrzelonego rogiem.

To zjawienie się uzbrojonego partyzanta w malowniczym stroju było tak nieoczekiwane po bezpośrednim powrocie z Krakowa, gdzie jednak żyło się choćby pozornie normalnym życiem miejskim, zrobiło na Fredzie ogromne wrażenie. Stał chwilę z wystraszonymi oczyma wpatrując się w "Kmicica", z nim podał mu rękę.

Fred zadomowił się u nas prędko. Czas spędzał przeważnie w swoim pokoju, wychodząc na spacer tylko kiedy się ścierało. Pobyt jego musiał być jak najściślej zakonspirowany. Na ogół był mało mówny i zamknięty w sobie. Dał nam jednak do przeczytania pamiętnik, który zaczął pisać po ucieczce z obozu. Było w nim tylko zdanie: "Uciekam z obozu już poraż słodki. Nie dlatego aby tam było bardzo źle. Dostawaliśmy tam nawet czekoladę i papierosy z szwajcarskich paczek Czerwonego Krzyża. Uciekam dlatego, że Anglik nie może być niewolnikiem". I dalej: "Przyjęto mnie teraz w polskim domu jak kogoś bliskiego. Jak kogoś z ro-

dziny lub przyjaciela. A ja jestem z tego tak dumny, jakby księżę Walii powiedział do mnie "ty".-

Święta Bożego Narodzenia spędził z nami. Fred był trochę przygnębiony, zapewne wspomnieniami o rodzinie, o dalekiej Walii, a może także jednostajnością trybu życia. Ożywił się kiedy zaproponowaliśmy aby dla odprężenia wymyślił jakąś rozrywkę na Sylwestra. Oczywiście nie było mowy o zabawie. Zbyt blisko dotknęły nasz dom aresztowania i straty najbliższych nam ideowo osób i współpracowników z konspiracji. Zbyt wiele ciążyło nad nami niebezpieczeństw grożących w każdej chwili. Trzeba się jednak było zdobyć i dać parę chwil odprężenia Fredowi, który i tak niedługo miał od nas odejść do oddziału partyzanckiego "Kmicica". Stamtąd miał przejść w Gorce i dołączyć do grupki Anglików- którzy wchodził tam w skład jednego z oddziałów leśnych.

Zaproponowaliśmy po naradach, aby w wieczór sylwestrowy wszyscy wystąpili w kostiumach własnego pomysłu. Fred był uśmiechnięty, zakłopotany tylko, że nie ma w co się przebrać. Nie pamiętam co my wymyśliliśmy dla siebie, ale pamiętam Freda przebranego za kobietę, z mojej balowej sukni zachowanej z przed wojny. Suknia była śliczna z cienkiego szafirowego tiulu, przez który z przodu prześwitowała obficie owłosiona pierś Freda, wyłaniająca się z białego podkoszulka, a dekol z tyłu ujawniał pokazne węzły mięśni na plecach i ramionach. Z pod lekkich falban wychodziły duże stopy w czarnych żołnierskich buciorach na wydektanym obcasie.

Fred był w siódmym niebie. Cieszył się zupełnie jak dziecko i swój wygląd oceniał jako najlepszy dowcip w świecie. Rozrywka udała się znakomicie.

Mineło dobrych kilka tygodni. Zwrócono nam uwagę, że obecność Freda nie udało się ukryć, co groziło niebezpieczeństwem donosu. Denerwująca stał się każdy przyjazd gestapowców, którzy wpadali czasem niespodzianie podejrzewając od dawna i wyczuwając nasz udział w konspiracji. Byliśmy podejrzani i stale obserwowani. Nie można było ryzykować Fred musiał odejść. Pożegnaliśmy go jak każdego ze swoich. Wszedł do oddziału "Kmicica". Razem z nimi rozpoczął życie w lesie, w ciągłym napięciu, bez dachu nad głową. Ich bazą wypadową były lasy

ciągające się szczytami Beskidu Niskiego w powiecie gorlickim, przechodzące na teren powiatu nowosądeckiego. Najczęstszymi miejscami ich pobytu były Łasy na górze Chełm w gminie Ropa. Las dochodzący tam do drogi pnącej się stromo w górę sprzyjał wypadom na samochody niemieckie, zwalniające tam z konieczności tempo jazdy. Tam zdobyto największą ilość broni i samochodów, a Niemcy u stóp Chełmu ustawili ostrzegawczą tablicę: "Achtung. Banditengefahr". U stóp Chełmu stał też mały domek gospodarza Władysława Murańdy, który nieustraszenie przyjmował u siebie z narażeniem życia wszystkich którzy byli w niebezpieczeństwie. Był też niejako główną kwaterą "Kmicica".

Fred przystał do oddziału. Lubiany był przez kolegów i nawet zaczął trochę rozumieć język polski. Żartowano tylko, że "nic dziwnego iż wojna tak długo się ciągnie, jeśli wszyscy Anglicy tak powoli się ruszają jak Fred".

Był u nas jeszcze raz z Kmicicem. Za kilka dni miał odejść w Gorce. Żadne przeczucie nie powiedziało nam, że widzimy go po raz ostatni.

W kilka dni później, późnym wieczorem zapukał "Kmicic". Zazwyczaj wesoły i pełen werwy miał twarz ściągniętą, a oczy wpadnięte. Nie pytaliśmy o nic. Matka moja opatrzyła mu rękę. Miał lekką ranę postrzałową. Później zaczął mówić sam.

- "Straciliśmy czterech ludzi. Zginął Fred. Dzisiaj rano mieliśmy odprawę w "Ogiełni" /kryptonim Stróż/, w domu Mogilskich. Jeden z chłopców wybiegł po papierosy do niedalekiej budki. Tam został widać rozpoznany. Podobno Bahaschutz ze Stróż zatelefonował do Tarnowa po posiłki. Usłyszeliśmy serię z karabinów maszynowych. Dom był otoczony. Odpowiedzieliśmy strzałami, ale Niemcy wrzucili granaty zapalające do wnętrza domu przez okna. Rozszarpany granatem zginął Stanisław Dywan pseudo "Kasztan", członek grupy BOH. Wśród detonacji musieliśmy się wycofać wyskakując przez okno, gdy wyjścia były obstawione. Stanowiliśmy łatwy cel. Zginął Zygaunt Tułocki, kolejarz z Dębicy, łącznik AK. Uciekający w kierunku Białej Józef Majocha z Woli Łużańskiej, również nasz kolega, padł przeszyty kulami. Ja dostałem lekko w rękę i uciekałem między domami miasteczka. Za mną Fred. Ludzie wskazywali nam drogę którzyś kluczyć. Kilku Niemców biegło jednak wciąż naszym śladem strzelając gdy tylko

zaszliśmy się w ich polu widzenia. Z uliczki wypadliśmy w pole. Fred wciąż biegł za mną. Widocznie jednak słabł, gdyż wyczuwałem rosnącą między nami przestrzeń. W pewnej chwili, widać wystraszona strzałami wypadła z jakiejś zagrody krowa uciekając w stronę pobliskiego lasu. Zacząłem biec za jej osłoną i dopadłem do lasu. Odwróciłem się nie słysząc za sobą Freda. Zobaczyłem, że on straciwszy widać siły zatrzymał się, odwrócił w stronę nadbiegających Niemców i podniósł ręce do góry na znak, że się poddaje. Nie obeznany z metodami hitlerowców nie przypuszczał widać, że strzelą do bezbroznego, dobrowolnie się poddającego.

Dobiegli go i stojącemu z wzniesionymi rękami strzelili w serce".

Po krótkim odpoczynku "Knicić" odszedł do swojego oddziału.

Fred Sheady z Flint z dalekiej Walii pochowany na cmentarzu w Stróżach pozostał z nami na zawsze ...